

Borneo – gwałt natury

Już zimą 2005/2006 r. miałem twarde plany, by udać się na Borneo. Kupiłem bilet do Pontianak przez Jakarta i poszybowałem do Azji. Jak zwykle zabrałem kilka dobrych książek do czytania oraz dobre niemieckie przewodniki⁶. Tradycyjnie już nie planowałem przed wyjazdem szczegółowej marszruty. Po prostu wiedziałem, że będę przez prawie miesiąc na Borneo. Zawsze tuż przed wylotem z kraju rytualnie wyłączam komórkę, wrzucam ją głęboko do plecaka, tak, by jej nie znaleźć do powrotu i zamawiam, choćby to była godzina wczesnoporanna, jeden albo kilka porządnych drinków i wypijam je za kolejną wielką przygodę, otwierając jednocześnie przewodnik po krainie, do której się udaję. I tym razem zaraz po kontroli paszportowej usiadłem w jedynym (wtedy) barze na Okęciu, wyłączyłem telefon i zamówiłem Long Island Ice Tea otwierając przewodnik po Indonezji. Po wejściu do samolotu, w którym zużyta stewardessa LOT-u⁷ podała mi oblesną kanapkę, zacząłem się wgłębiać w opis indonezyjskiego Borneo. Czym dłużej czytałem, tym bardziej byłem przekonany, że indonezyjskie Borneo to chyba zły wybór. Gdy po kilku godzinach babochłop w samolocie KLM⁸ podawał mi kolejne wino, dowiedziałem się z mojego przewodnika, że indonezyjskie Borneo słynie z plantacji palmy oleistej, wyrąbu drzewa na eksport oraz z wydobywania ropy i innych minerałów. Wielka zaleta podróżowania w taki sposób, w jaki ja to czynię, polega na tym, że zawsze można podrzeć bilet, wysiąść po drodze i zmienić plany. Zamiast na Borneo poleciałem z Jakarta do Manado, na północ pięknej Sulawesii. O Borneo nie przestawałem jednak myśleć.

-
- 6 Niemieckie przewodniki są o lata świetlne lepsze od popularnych Lonely Planet i Rough Guide. Są jak Niemcy wiele lat temu: dokładne, skrupulatne, perfekcyjne. Mnóstwo w nich dokładnych map, planów, szczegółowych informacji. Amerykańskie przewodniki zabieram zawsze tylko dla porównania.
 - 7 W locie działa kilkanaście związków zawodowych, które powodują, że poziom obsługi należy do najgorszych na świecie. Gorszą obsługę odnotowałem jak dotąd tylko w Aeroflocie. Szczytem chamstwa jest zachowanie personelu pokładowego w locie do Stanów. Zblazowane stewardessy robią taskę, że cokolwiek muszą dla pasażerów uczynić. Życzę LOT-owi, by polskie państwo sprzedało go za jednego ringgita (waluta malezyjska) właścicielowi AirAsia, który kiedyś z upadłej linii lotniczej zrobił azjatyckiego potentata.
 - 8 KLM to potężna linia lotnicza, obsługująca wiele ciekawych (z mojego punktu widzenia) destynacji. Niestety jest to linia holenderska, a Holenderki słyną z tego, że dzięki bogatej w chemię diecie mają 2m od stóp do głów i metr w barach, a twarze ich przypominają twarze goryli.

Plany sprzed lat zrealizowałem wiosną 2007 r., kiedy to pomknąłem do Sabah i Sarawak (malezyjskie prowincje Borneo). Moim oczom pokazała się dziewicza dżungla pełna dzikich zwierząt, wspaniałe góry w środku dżungli. Przeżyłem najlepsze nury w życiu i zobaczyłem bardzo cywilizowany i nowoczesny muzułmański kraj w Azji.

Krwawy gejzer z głowy w środku dżungli

Na dobry początek wybrałem się do Gunung Mulu i zaaplikowałem sobie przy 38 st. Celsjusza i wilgotności 100% morderczą wspinaczkę na Pinnacles. Najpierw przez cały dzień dymałem bez przewodnika przez tajemniczą i obcą mi dżunglę do kampu położonego nad rwącym potokiem. Gdy dotarłem na miejsce, bez namysłu rozebrałem się i wskoczyłem do rześkiej wody. Gdy po kilku chwilach wyszedłem na brzeg, byłem oblepiony mnóstwem pijawek. Na-



Cztery kilometry w pionie cały czas przez dżunglę, w rzęsimym deszczu, upale, po śliskiej glinie, korzeniach, drabinkach, skałach zabezpieczonych omszałymi linami

zajutrz zabrałem do plecaka apteczkę, wiele litrów wody i podjąłem próbę zdobycia Pinnacles. – Szczytu góry, z którego widać ostre skaliste szczyty-miecze wystające z dżungli. Sama wędrówka była mało fascynująca: 4km w pionie, cały czas przez dżunglę, w rześystym deszczu, upale, po śliskiej glinie, korzeniach, drabinkach, skałach zabezpieczonych omszałymi linami.

Było warto. Udało mi się wyjść na samą górę i widok był fantastyczny. W drodze powrotnej walczyliśmy z czasem. Trasa była tak pomyślana, by wrócić godzinę przed zmrokiem. A zmrok w dżungli oznacza ciemność absolutną. Nie widać naprawdę nic, nawet ręki. Noc w dżungli budzi trwogę, niepewność, strach. W połowie zejścia mój najwspanialszy towarzysz upadł, uderzył głową w ostry kamień i z jego głowy poleciał w powietrze gejzer krwi. Apteczka mojego przewodnika składała się z dosłownie trzech tabletek przeciwbólowych i szarego bandaża. Ja na szczęście zawsze mam ze sobą porządną, skomponowaną samodzielnie apteczkę, która zajmuje w moim bagażu najwięcej miejsca.



Po morderczej wędrówce nagrodzony zostałem cudownym widoczkiem na wystające z dżungli miecze skalne

I choćbym miał jej nigdy nie użyć, zawsze ją mam i zawsze zawiera ona świeże specyfiki i medykamenty. No i po wielu latach noszenia przydała się ta moja apteczka. Intensywny krwotok udało się zatamować, ranę zdezynfekować i zabezpieczyć. O zmroku korzystając z latarek wróciliśmy do kampu.

Nazajutrz cieszyłem się z milionów nietoperzy wylatujących z największych na świecie jaskiń, stanąłem oko w oko z kobrą królewską i z zielonym jadowitym viperem. Kilka lat później dowiedziałem się o haniebnych praktykach koncernów farmaceutycznych, które zachęcając rolników malezyjskich do uprawy palmy oleistej, z której produkuje się kosmetyki, przyczyniają się do masowego wycinania lasów na Borneo i do deformowania ekosystemów. W gajach palmowych na Borneo mnożą się szczury i aby je zwalczać, wymyślono nie koty ale import jadowitych węży (m.in. kobr) z Afryki Południowej. Straszny jest świat. Wielkie koncerny światowe biorą udział w degradacji środowiska naturalnego, tworzeniu niewolniczego środowiska pracy i rzeczywistym uśmiercaniu ludzi.



Odpoczynek z Pinnacles w tle

Niedawno czytałem nieprawdopodobną, ale potwierdzoną przez sam koncern wiadomość o tym, jak jeden z czołowych producentów odżywek dla niemowląt i słodczy (firma „N...”), w celu uzyskania oszczędności, dodawała w Chinach cement do mleka dla niemowlaków. Skutek? Ponad milion niemowlaków nie przeżyło tego eksperymentu. Kilka miesięcy temu po powrocie z trekkingu wokół Annapurny, postanowiłem udać się na krótki odpoczynek na wzgórze nieopodal Kathmandu. Nie mogłem dotrzeć jednak do celu ze względu na strajki i blokady dróg w całym kraju. Nazajutrz przeczytałem w anglojęzycznym dzienniku, że to strajki przeciwko łamaniu przez wielkich pracodawców ustawy o minimalnym miesięcznym wynagrodzeniu w wysokości 40 USD. Na czele listy pracodawców czołowy światowy producent kosmetyków (firma „J...”). Bezczylny lokalny manager wypowiada się do prasy, że akceptowalne dla firmy wynagrodzenie to kilka dolarów mniej. Podczas ostatniej (zima 2008/2009) podróży do Malzeji zdołałem się i naprawdę zasmuciłem, czytając wnikliwie rzetelnie napisaną książkę Naomi Klein pt. „No logo”. Pełno tam przykładów skurwysyństwa autorstwa wielkich światowych korporacji. Smutny wniosek nasuwa się po tej lekturze. Otóż umarlibyśmy z głodu i chodzilibyśmy nago bojkotując firmy, które mają na sumieniu straszne akty przeciwko środowisku, ludzkości, konsumentom.

W sercu dżungli

Dla białego człowieka przygotowano w lesie tropikalnym nad Amazonką w Ameryce Południowej, nad Kinambatangan na Borneo i nad Kanyachu w Ugandzie skromne szałas położone tuż nad wodą. Pysznic to wiadro wody, przez szpary w bambusowych ścianach widać okoliczne drzewa, na środku pokoju jedyny mebel: Osłonięte moskitierą najprostsze na świecie łóżko. Wieczorem taki szałas ma pełno gości: Tysiące insektów, dziesiątki małych i większych gekonów oraz szczury. Jest też wielka weranda, gdzie podawane są najprostsze posiłki.

Wieczorem wyruszam na wyprawę po rzece Kinambatangan: Upalny wieczór, dziwny hałas z głębi lasu niesie się po rwącej rzece. Czerwone oczy oznaczają, że zaraz zobaczymy krokodyla, dużo czerwonych światełek oznacza, że wokół nas roi się od krokodyli. Odważni i doświadczeni przewodnicy pajacują i udaje im się, nie wiadomo jak, złapać w ręce maleńkiego krokodyla. Gdy wychodzę na brzeg, by rozprostować kości, przewodnik pokazuje mi, wiszącą tuż nade mną ogromną tarantulę.

Wyprawa w głąb dżungli zaczyna się wspinał, gdy dostajemy dziurawe gumiały, do których tuż przy naszym szalasy powoli wlewa się woda. Gdy informujemy o tym przewodnika, on daje nam nowe gumiały, jeszcze pachnące gumową nowością, śmiejąc się przy tym. Wie on bowiem, że zaraz wpadnę po pas w mokradło. Do mokradła, lasu tropikalnego przyzwyczajamy się metodą szokową. Gdy wpadamy po uda w grząskie mokradło i wiemy, że do gumiałów coś się nalało i coś tam pływa – wtedy wszystko jest człowiekowi obojętne. Apogeum szczęścia następuje, gdy docieramy do campu i stwierdzamy, że to „tylko pijawki.”



Las totalny, bez gumiałów ani rusz

Kolejne przeżycie, którego doznajemy w lesie deszczowym to zmasowany atak pijawek. – Nasze polskie pijawki to fajne, niegroźne stworzonka w porównaniu z tymi nachalnymi bestiami czającymi się w wodzie i spadającymi z drzew, przebijającymi się przez ciuchy i włączącymi masowo w ciało. Mam taką wystużoną koszulę w kratkę, którą zabieram do dżungli. Jest ona zrobiona z materiału

utkanego w taki sposób, że do koszuli można nalać wody. Dla pijawek tropikalnych jednak tak gęsty materiał to żaden problem. Najpierw się bałem i byłem przerażony, potem już przywykłem do widoku chmary pijawek przebijających się przez koszulę.



Dżungla wyczerpuje, totalna zieleń przytłacza

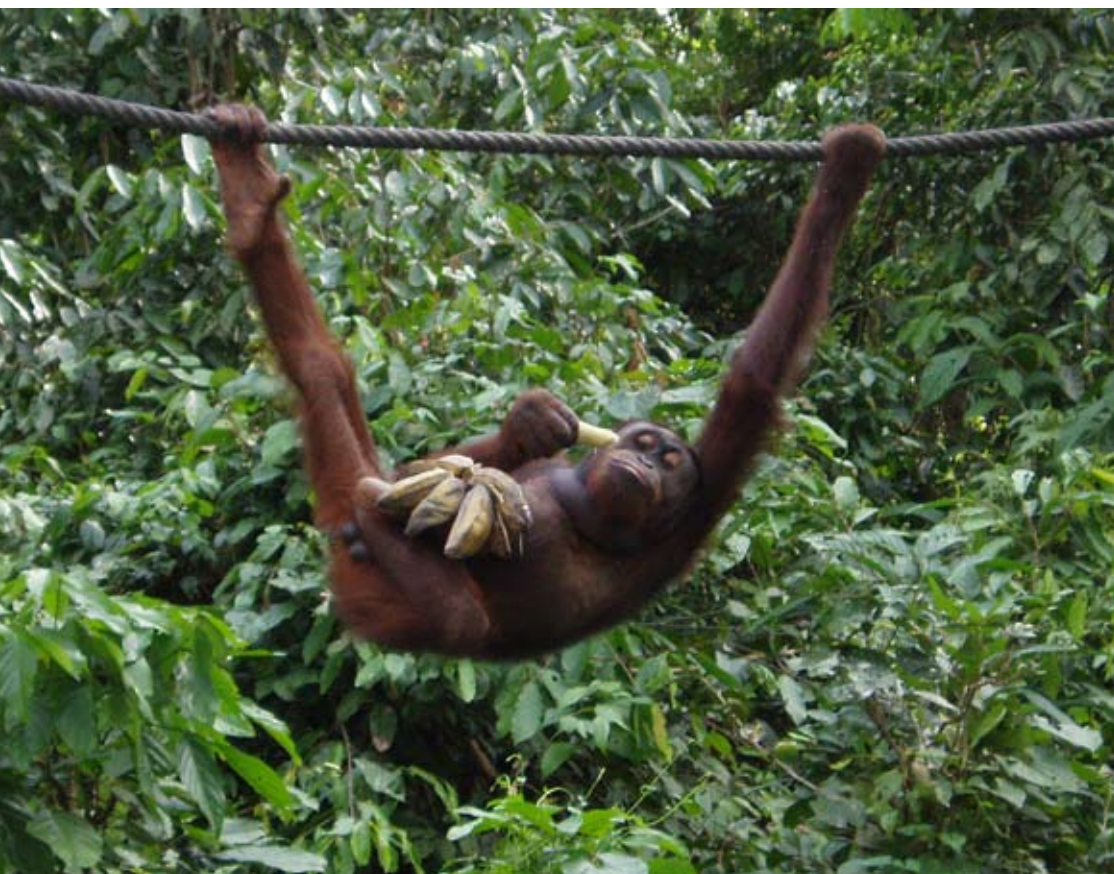
Każdy nocleg w szałasie w dżungli to nocne wrzaski, szelest i inne przedziwne odgłosy z lasu. Tajemnicze tuptanie pod pryczą. Na początku na pierwszych kilku wyprawach męczysz się, nie śpisz po nocach. Potem obojętniejesz i zapadasz w niespokojny, czujny sen.

Leśny człowiek

Płynąc po urokliwej rzeczce Kinabatangan spotkałem nie tylko pełno makaków, proboscisów, krokodyli. W pewnym momencie zobaczyłem, że na wiel-

kim drzewie siedzi rudy stworek, wybiera pieczołowicie, ogląda, a na koniec zajada owoce. Młody chłopak wykrzyknął po malezyjsku „leśny człowiek!”. Byłem szczęśliwy, bo nie przypuszczałem, że uda mi się w lesie spotkać rudego samotnika. Przez godzinę przypatrywałem się, jak orangutan sobie żyje. Wzruszającym przeżyciem jest spotkanie na wolności naszego dalekiego kuzyna i obserwowanie jego zachowania, życia, poczynąń.

Gdy potem trafiłem do Sepiloku, miejsca, gdzie rehabilituje się małe orangutany- sieroty, oszalałem na ich punkcie i obiecałem sobie, że zobaczę wkrótce jeszcze kilkoro naszych kuzynów: gorillo gorillo⁹ i pan troglodytę¹⁰ oraz pan panikusa¹¹. Pisząc te słowa wspominam wczorajsze (jestem w Ugandzie) uga-



Życie jest piękne – śmierć frajerom, orangutan, Sepilok, Borneo, Sabah, Maleszja

9 Łacińska nazwa goryla.

10 Spolszczona przeze mnie łacińska nazwa szympansa.

11 Spolszczona przeze mnie łacińska nazwa bonobo.

nianie się po dżungli za panem troglodytą oraz niedawną randkę z gorylami górskimi w Bwindi. Naczelne człekokształtne są tak fascynujące, że miejscowi bardzo często zabijają matkę i zostawiają sobie jako zwierzę domowe osieroczone maleństwo. W Sepiloku na wschodzie Sarawaku¹² gromadzone są takie sierotki-orangutany, zabrane ludzkim oprawcom i przyzwyczajane do życia na wolności. Uczy się je chodzić po drzewach, budować szałas, zbierać pożywienie. Szlachetna instytucja, a przy okazji okazja do spotkania naszych rudyh kuzynów i poznania ich zwyczajów.

Macho dżungli

Na sam koniec wyprawy trafiłem łodzią do lasu Bako. Tam żyje macho dżungli. – Proboscis ma kilka żon, gromadkę dzieci i długi nos. Macho siedzi z całą rodziną na wielkim drzewie. On, pan stadka, na samej górze, pod nim jego liczne żony z potomstwem na kolanach. Nikt nie wie, dlaczego ma taki długi nos. Podobno jego laski lecą na nochała. Dziwne stwory chodzą po tym świecie.

Podwodny szok

W moim dzienniku odnotowałem: „Spektakularne nury na Sipadan: żółwie, rekiny, barakudy, piękne korale, czyli wszystko, o czym marzy płetwonurek – to były naprawdę najlepsze nury w moim życiu”. Wszystko, co „naj” ma jednak jedną wielką wadę: Odechciewa się człowiekowi robić inne rzeczy, które nie są już „naj”, zawsze jest niedosyt. Dzięki nurkom na Sipadanie odechciało mi się nurkować. Kiedyś, jak na starość pojedę na Wielką Rafę Koralową albo na wyspy Pacyfiku lub na Ocean Indyjski¹³, zanurzę się w poszukiwaniu wielkich rekinów. Na razie Sipadan pozwala mi powiedzieć: wszystko, co fantastyczne, pod wodą już widziałem!

A Malesja? Kwintesencją była dla mnie plaża w parku narodowym nieopodal Kota Kinabalu, którą opisałem w moim dzienniku tak: „Muzułmanki w spódnicach, koszulkach, chustach na głowie, z maską i rurką podziwiają rafę koralową. Po wyjściu z wody korzystają z najnowszych komórek, piją colę w KFC. – To jest nowoczesność. Prawdziwa nowoczesność z zachowaniem cennej tradycji.”

12 Wschodnia prowincja malezyjskiego Borneo.

13 Teraz szkoda mi czasu na podróże na Malediwy, Mauritius, do Australii, na Bora Bora, do USA, do Kanady, do Nowej Zelandii. Są to destynacje dla starych ludzi. Ja mam na mojej liście: Etiopię, Namibię, Karakorum w Pakistanie, Iran, Filipiny, Patagonię, Amerykę Środkową, Andy...



Podwodny kosmos na Sipadan



Nowoczesność z zachowaniem cennej tradycji, świat jest piękny, bo niehomogeniczny

Czy warto jechać na Borneo? „Uważam, że Sulawesi, Wietnam i Tajlandia były lepsze, choć na Borneo wrażeń w dżungli było co niemiara, zwierzaków było najwięcej i były najciekawsze. No i te odlotowe nury.”